ABC literacko-artystyczne

Stały dodatek tygodniowy pod redakcją Stanisława Piaseckiego

Rok III. niedziela, 21 stycznia 1934 r. Nr. 4

Stanisław Piasecki

Narodowość literacka

Wbrew rozpowszechnionemu komunałowi o pożyteczności czy nawet twórczej roli literackich starć polemicznych — polemika jest w naszych, polskich stosunkach najczęściej bezpłodna. Czy sprawia to niedostateczne jeszcze zżycie się z zachodniemi regułami szermierki na słowa i myśli, wykształconemi przedewszystkiem w ustrojach parlamentarnych Anglji, a potem Francji, czy też może polski temperament i polski indywidualizm utrudniają sprawę w polemice najważniejszą: używanie przez przeciwników tego samego języka pojęć — dość, że niemal każdy z tych, którzy mieli okazję wstąpić u nas w szranki literackiej walki polemicznej, uskarża się potem na niemożliwość nawiązania kontaktu z przeciwnikiem. Ciosy nie krzyżują się, nie dają iskier ale padają obok siebie, świszczą tylko w powietrzu.

Wiosną ubiegłego roku napisałem artykuł o J. E. Skiwskim; artykuł ten, na przykładzie jednego z wybitnych naszych krytyków literackich, umysłowości nawskroś ciekawej i frapującej, podnosił kwestję, jak mi się zdawało, ważną i posiadającą ogólniejsze znaczenie: konieczności zajmowania przez krytyka wyraźnego stanowiska ideowego, unikania adwokackiej, bezkierunkowej błyskotliwości intelektualnej (intelekt dla intelektu), słowem posiadania określonego pionu. Było to jeszcze przed założeniem tygodnika „Pion" i pojęcie pionu nie miało dwuznacznego charakteru.

W jakiś czas po moim artykule ukazała się w „Tygodniku Ilustrowanym" (6.VII.33) obszerna odpowiedź Skiwskiego. Przeczytałem ją sumiennie — raz, drugi i trzeci. Znów to samo uczucie sztychów, trafiających w próżnię. Ja sobie i on sobie. Nibyto mówimy o tem samem, a mówimy o czem innem. Albo ja się źle wyjęzyczyłem i on mnie nie zrozumiał, albo jego język jest dla mnie niezrozumiały. W rozsupływaniu istoty sporu rzecz nie posunęła się ani trochę i niema nadziei, żeby przy tego rodzaju dyskusji, mogła się dalej posunąć. Cóż więc pozostaje? Wykłócać się o drugorzędne drobiazgi? Prostować sprostowania? „Te moje słowa pan przekręcił, a tam te fałszywie oświetlił"? Odpowiadać na cienkie inwektywy osobiste i taktyczne niedopowiedzenia takimiż inwektywami i takimiż niedopowiedzeniami? Zaspakajałoby to może żyłkę pieniaczą, każdemu z nas wrodzoną, ale wątpię, czy mogłoby interesować czytelników, jeśli równocześnie spór zasadniczy musiałby pozostać w cieniu. Zawiesiłem dyskusję na kołku.

Nie podjąłem jej i wówczas, kiedy już ze szpalt „Pionu", niemal w każdym numerze tego czasopisma (co łacno mogło mnie przyprawić o megalomanję), padały zaczepki Skiwskiego pod moim i mego obozu adresem skierowane, to kurtuazyjne, to znów w tonie podrażnionym, by wreszcie wybuchnąć w zirytowanym okrzyku: Czemu nie odpowiadacie? Czemu milczycie?

Odpowiadać? A na co? Czy te drugorzędne sztuczki demaskacyjne, uprawiane z zamiłowaniem przez Skiwskiego w „Pionie" (stary i ograny repertuar demagogów wiecowych) mogły się stać terenem poważnej, zasadniczej dyskusji? Na sztuczki odpowiedź jest jedna — zaaplikować kontrsztuczki demagogiczne. Ale to dyskusji naprzód nie posuwa. Zaś postawa wewnętrzna Skiwskiego wobec zagadnienia ciągle była nieuchwytna, co czyniło niemożliwem starcie wręcz, piersią w pierś, f a i r i bez kawałów.

Dopiero artykuł Skiwskiego p.t. „Fałszywy tupet i prawdziwa ułegłość", jaki się niedawno ukazał w „Gazecie Polskiej", niespodziewanie oświetlił mi w psychice zadzierżystego przeciwnika pewną dwoistość, której istoty nie udawało mi się dotąd uchwycić i co bodaj było powodem niemożliwości doprowadzenia do rzeczywistego skrzyżowania szpad. Artykuł Skiwskiego jest właściwie recenzją z świeżo wydanego p. t. „Prosto z mostu" zbioru moich artykułów literackich. Owóż rzecz charakterystyczna: ilekroć referuje Skiwski c z y s t o l i t e r a c k i e sprawy, poruszone w mojej książce, rozumiemy się doskonale, a nawet, mam wrażenie, przeważnie jesteśmy w zgodzie. Nie przerażają go wcale filipiki przeciw Berentowi i Staffowi, wygłaszane w książce w imię walki o nowy styl i nową treść literatury naszej, te same filipiki, które wywołały niedawno gwałtowną napaść anonima z „Tygodnika Ilustrowanego" i zabawne, a najzaszczytniejsze dla mnie przegadanie się szarej eminencji w epitecie „mały Mochnacki" (oby udało się mi się nań kiedyś zasłużyć!). Skiwski ustala nawet p r a w o d o n i e s p r a w i e d l i w o ś c i krytycznej w krańcowości i jednostronności oceny, jeśli podyktowana jest ona walką o nową koncepcję piękna.

Równocześnie zaś ten sam Skiwski, kilkanaście wierszy dalej, nie jest w stanie zrozumieć już nawet nietyle niesprawiedliwości, ile poprostu pewnej elementarnej reakcji uczuciowej, jeśli wypływa ona nie ze stanowiska czysto literackiego, ale ideowo politycznego. To już będzie w jego oczach z reguły fałszywe, nieszczere, dorobione. Jako przykład takiej „zabawnej" mojej nieszczerości cytuje, że w komedji Słonimskiego podobało mi się wykpienie urzędowego stylu przemówienia sanacyjnego wojewody, a niesmak wzbudziła we mnie wykoncypowana przez autora „Rodziny" scenka angażowania na przywódcę polskich narodowców Niemca - hitlerowca. Dla tem większego efektu nie zawaha się nawet przekręcić słów mojej recenzji (ABC 28.XII. 33), i przedstawi to poprostu, że uznałem za doskonałą p o s t a ć wojewody, a za niesmaczną postać endeka, żeby móc zaraz z triumfem dodać: właśnie wojewoda jest w sztuce tekturowy, a endek Kaczulski doskonale obyczajowo podpatrzony. Przypuśćmy, że nawet takbym się zagalopował. Powstaje wówczas pytanie: dlaczego zdaniem Skiwskiego w walce czysto literackiej wolno się zagalopować nawet w niesprawiedliwość, a natomiast niewolno choćby uczuciowo reagować, gdy w tejże literaturze wchodzą w grę momenty ideowo - polityczne? Jest chyba rzeczą jasną, że pojęcie niesmaku, jakie zostało przeze mnie użyte, ma w tym wypadku znaczenie uczuciowe.

Owóż Skiwski reakcyj uczuciowych tego typu nie rozumie zupełnie; wyklucza nawet możliwość ich istnienia; to poprostu nieszczerość, obowiązek partyjny, zły nawyk i koniec. On tego nie pojmuje, bo sam jest — n a r o d o w o ś c i l i t e r a c k i e j. W krainie czystej estetyki ,czuje się doskonale. Jest u siebie w domu, błyszczy świetnością spostrzeżeń, celnością sformułowań, przenikliwością uwag. Obywatel ojczyzny klerków. Do wszystkich natomiast ideałów pozaliterackich odnosi się z niedowierzaniem. Naprawdę? Są tacy, którzy mają jakieś przekonania ideowe w coś wierzą i o coś walczą, mają swoje świętości i najbanalniej nie lubią, żeby je szargać? To tylko fałszywy, partyjny tupet endecki, albo po przeciwnej, ipsowej stronie, uległość wobec modnych formułek. I kropka.

Stąd już bezceremonjalność Skiwskiego w pewnem siebie wizytowaniu cudzych dusz. Wizytator ma opinję zgóry gotową: fałsz, obłuda, konwencja. „U p. Piaseckiego nie mogłem się dopatrzeć innego, poza konwencjonalnym, stosunkiem do religji". Ba, w razie czego potrafi to Skiwski udowodnić czarno na białem. Poszpera trochę w mojem życiu prywatnem i z triumfem obwieści zdemaskowanie obłudnika. Więc np. uzna, że jego zdaniem nie dość często chodzę do kościoła, albo zbyt dawno nie byłem u spowiedzi św., jak już do znudzenia podaje w wątpliwość moje przekonania polityczne z tej racji, że wydałem książkę w „Roju", a nie np. w księgarni św. Wojciecha. Demaskowanie u endeków „różnych wzniosłych moralno - religijnych uogólnień, nie pokrywających się z ich życiem" oraz „oddawania hołdu tradycyjnej obłudzie" — jest ostatnio ulubionym konikiem Skiwskiego. Jak na klerka konik dość niewybrednie dobrany, bo już mocno okulawiony przez Irzykowskiego („Benjaminek"), tego samego Irzykowskiego, którego umysłowość wielbi Skiwski w swych krytykach — ale, jak się okazuje, czysto platonicznie.

Organiczne kalectwo psychiczne Skiwskiego, nie pozwalające mu wierzyć, że ktoś może w coś wierzyć, pchnęło go do posługiwania się starą, partacką metodą demaskacyjną. Nie posiadając w sobie aparatu, który odbiera fale wewnętrznego życia duchowego innych, zajmuje się on z pasją mózgowca rejestracją objawów zewnętrznych, w szczególności zaś wychwytywaniem fakcików niezgodności głoszonych ideałów z temi i owemi krokami w życiu. Sztuczka bardzo efektowna. Endeki zdemaskowane! Rewelacje o antysemitach! Księża grzeszą! Wszędzie obłuda, obłuda, obłuda! I największa rewelacja — nie wszyscy są święci! Kto nie jest święty, ten wiadomo, obłudnik. Że zaś świętość, czyli całkowita zgodność ideałów z postępowaniem w życiu, jest zjawiskiem dość rzadkiem, przeto plon tropicielskiej działalności Skiwskiego ma w praktyce zasięg możliwości nieograniczony. Wesoła to zabawa — przynosi w udziale same wygrane.

Ale zarazem zabawa upiorna. Do czego bowiem prowadzi uparte wbijanie w mózgi, że niedociąganie życia do ideału, spowodowane bądźto warunkami, bądź nawet niedostatkami w napięciu woli ludzkiej, jest równoznaczne z obłudą, jeśli po upadku nie zrezygnuje się z ideałów? Skiwski uzurpuje sobie rolę generalnego spowiednika. Spowiedź publiczna. I taka osobliwa spowiedź, której celem nie jest rozgrzeszenie, ale skompromitowanie grzesznika. Skompromitować i zepchnąć wdół. Nie masz prawa gadać o ideałach, bo nie jesteś święty! Jeśli chcesz być w zgodzie z samym sobą, mierz siebie linją upadków. To jest linja twoich ideałów, a nie ta górna, niedosiężna, do której tak trudno się choćby przybliżyć. Podróżuj śmiało w głąb nocy celinowskiej, a nie będziesz obłudnikiem.

Prostackie, fałszywe wygrywanie pojęcia obłudy w tym sensie, w jakiem go używa Skiwski — to poprostu taran do rozbijania wszelkich ideałów. Tak zwana obłuda bowiem, nawet w swej najcyniczniejszej formie, to jest używana jako płaszczyk dla pokrycia marnego życia, jest społecznie bardziej wartościowa od ekshibicjonistycznej postawy psychicznej. Świadczy o niezatraceniu wstydu moralnego. Gdzie jest wstyd, tam i poczucie niedociągnięcia do ideałów, wyrażające się choćby negatywnie w potrzebie ukrycia przed oczyma ludzkimi upadku. To zaś jest postawa bardziej społecznie odpowiedzialna, niż popisywanie się upadkiem i zachęcenie innych: patrzcie, ja się nie wstydzę, czemuż więc wy się wstydzicie*).

Skiwski wypomina mi już powtórnie, że w artykule o nim (przedrukowanym teraz w książce „Prosto z mostu"), pomówiłem go niesłusznie o ideologję „życia ułatwionego". Rzecz polega na niedość uważnem przeczytaniu mego tekstu przez oponenta. Użyłem wyrażenia, że Skiwski stał się „teoretykiem życia ułatwionego", co oczywiście wcale nie jest równoznaczne z wyznawaniem ideologji. Teoretykiem czegoś można być na zimno. Skiwski takim teoretykiem jest prawie zawsze: czyto ~~kiedy~~ teoretyzuje pacyfistom, czyto kiedy teoretyzuje katolikom, czy też kiedy pierwszy wyłuska teorję boyizmu i opatrzy ją własną nazwą „życia ułatwionego". Obecnie jednak, po ostatnich wypadach przeciw „obłudzie", gotów jestem przypuścić, że Skiwski istotnie bliski jest boyizmowi. Czemże bowiem innem, jak nie propagowaniem życia ułatwionego, życia bez hamulców, jest wyśmiewanie i kompromitowanie ludzkiej ułomności w niedociąganiu życia do ideałów?

Nie wiem czy i jakie ideały wyznaje Skiwski. Na terenie sporów czysto literackich rozumiem go doskonale, cenię i często podziwiam. Natomiast gdy próbuje on wyjść poza tę swoją narodowość literacką — widzę, że jak każdy obcy, umie tylko burzyć i niszczyć, a nic nie potrafi zbudować, bo poprostu nie może znaleźć pionu dla budowli. Waha się ten jego pion, jak sam Skiwski wyznał w artykule polemicznym ze mną, pomiędzy komunizującą grupą z „Buntu Młodych" a... katolickiemi artykułami K. Górskiego w konserwatywnym „Dniu Polskim". Rozpiętość dość szeroka. Tak wielkiej w polskim obozie nacjonalistycznym znaleźć Skiwski nie mógł. Dlatego zapewne przeniósł się do różnojęzycznego obozu sanacyjnego. Ale też wszelkie dyskusje polityczno - ideowe stały się z nim niemożliwe. Nie wiadomo, z kim ma się okoliczność.

Wolę więc na przyszłość ograniczać się do dyskusji literackiej. Choć, coprawda, literatura nie stanowi państwa sama dla siebie. Jest organiczną częścią życia narodowego. I nawet tak „czystoliteracka" sprawa, jak walka o prostotę stylu naszej beletrystyki, walka która znalazła zresztą aprobatę Skiwskiego, nie jest czemś oderwanem, co znikąd się wzięło. Wypływa z pewnych pozaliterackich podstaw ideowych, co trzeba będzie kiedyś szerzej rozwinąć i uzasadnić.

---

*) Nie znaczy to, bym negował wogóle istnienie obłudy, albo propagował ją, jako najłatwiejszy sposób załatwienia rachunków z ideałami. Ale z ustawicznem szermowaniem argumentami manji prześladowczej na temat obłudy, trzeba toczyć walkę ciągle i nieustannie. To zaraza.

Wojciech Wasiutyński

Z duchem czasu

Kilka anegdot, które razem tworzą pewien obraz

Jedna z pań, pochodzących z Kresów, wspominała mi kiedyś o stosunkach, panujących w Grodzieńszczyźnie. W okolicy jej rodzinnego majątku rozsiane były zaścianki szlachty chodaczkowej, trybem życia zupełnie nie różniącej się od chłopów. W jednym z najbliższych zaścianków żyła kobieta-analfabetka, która co jakiś czas odwiedzała ją, powtarzając oryginalną prośbę. Mianowicie, przynosiła z sobą dokument nobilitacyjny swej rodziny z szesnastego wieku, prosiła o odczytanie go sobie głośno, a podczas odczytywania klękała i klęcząc wysłuchiwała głosu zamierzchłej przeszłości.

*

Jeden z moich znajomych opowiadał mi o swej rozmowie z drobnym szlachetką z północnego Mazowsza.

— Nasz proboszcz — mówił ów szaraczek — to dobry ksiądz. Jak się gdzie chłopaki pobiją na weselu, albo popiją, to zawsze sumiennie z kazalnicy wypomni z imienia i nazwiska, ale klejnotu nie ruszy, nie powie, jakiego herbu był ten, co się pobił.

W tejże okolicy panuje zwyczaj niejako rytualny, że przy dawaniu na zapowiedzi, ksiądz pyta kandydata do małżeństwa:

— A gniazda nie kalasz?

Zapytany obraża się w sposób ściśle przepisany, poczem wymienia z jakiego rodu jest narzeczona.

Drugim obowiązkiem prestiżowym proboszcza jest zapytać, czy ma zapowiedzi ogłosić z herbami, czy bez? Zapytany wyjaśnia z oburzeniem, że z herbami, płaci trzy razy drożej, i mimo oszczędności i ciężkich czasów za ujmęby sobie poczytał, gdyby mu zaproponowano niższą opłatę.

*

Pamiętam górala, który, kiedy mnie już lepiej poznał i nabrał zaufania, pokazał mi schowane na poddaszu dokumenty, nadające jednemu z jego przodków dziedziczne sołectwo we wsi, w której toczyła się nasza rozmowa.

*

Widziałem także historję in statu nascendi. W kaszubskiej chacie na honorowem miejscu wisiał dyplom, wydany przez jedno z pism polskich, że gospodarz w okresie niewoli przez 25 lat prenumerował i popierał polskie pisma pomorskie.

*

Kiedy się weźmie do ręki średniowieczne zapiski sądowe polskie z sądów ziemskich i oswoi z zabawnym łacińskim językiem o polskiej gramatyce i ortografji, człowiek zaczyna czuć się bardzo swojsko. Niema tam prawie żadnej analogji z życiem dzisiejszego ziemiaństwa, natomiast jest dokładny obraz życia chłopskiego. Kłótnie graniczne, bójki, działy majątkowe, spory o posagi, o szkody polne, drobne sprzedaże i pożyczki, pieniactwo i przysięgi.

*

Pewien stary warszawiak żalił się przede mną na upadek moralności.

— Dawniej wiedziało się o każdym z jakiej jest rodziny, każdy musiał się pilnować i pamiętać o honorze rodzinnym. Odrazu było widać, z jakiego kto jest środowiska, były ustalone zwyczaje. Jak latem rodziny wyjechały na wakacje, a panowie w damskiem towarzystwie spotkali się w „ogródkach", to mieli tyle przyzwoitości, że się sobie nie kłaniali. A dziś?

*

Długo trzeba mieszkać w jakiejś wsi, żeby się dobrze zorjentować w jej hierarchji wewnętrznej. Które familje są bardziej czcigodne, które mniej, która dziewczyna robi przez małżeństwo karjerę, a która popełnia mezaljans. Zresztą stopień zróżnicowania wewnętrznego wsi zależy bardzo od jej przeszłości. Czy to była królewszczyzna kiedyś, czy wieś szlachecka, jak w niej przez setki lat wygląda samorząd gromady...

Miasto współczesne jest płynne, a człowiek jest w niem izolowaną jednostką, jednym z setek tysięcy mieszkańców. Miasto swoją strukturą odpowiada doktrynie liberalnej, czy marksistowskiej. Wieś jest stała, a człowiek jest w niej silnie wbudowany w rodzinę, ród, gromadę, ma swe stałe miejsce.

*

O przynależności do jakiejś warstwy społecznej nie decydują względy materjalne, lecz kulturalne. Szlachta zagrodowa jest tego klasycznym przykładem.

W Polsce warstwa mieszczańska właściwie nie istnieje. Ale nie dlatego, żeby nie było kupców, czy rzemieślników, tylko dlatego, że niema silnej tradycji mieszczańskiej.

Doktryna socjalistyczna zrodzić się mogła tylko z obserwacji robotników miejskich. Jest to bowiem jedyna warstwa, która nie jest warstwą, lecz klasą. Robotnik, z chwilą gdy przestał być chłopem, starał się naśladować mieszczanina, a nie mając tradycji własnej warstwy, był tylko proletarjuszem, elementem niezwiązanym z tradycją miasta. Jest to zagadnienie wyjątkowo ciekawe, czy wytworzy się własna tradycja warstwy robotniczej, czy też przedtem nastąpi koniec industrjalizmu, a robotnik stanie się mieszczaninem.

Jak dotąd, dominuje w Polsce ciągle jedna tradycja kulturalna: szlachecko-chłopska, rolniczo-żołnierska (któryż z odsługujących wojsko nie zrobi sobie fotografji w wojskowym mundurze, często jedynej w życiu?).

Irena Pannenkowa

Hajże na Sienkiewicza!

Zaczęło się mniej więcej rok temu od konferencji we Lwowie, gdzie jakiś wyższy funkcjonarjusz ministerstwa oświaty po raz pierwszy publicznie wystąpił przeciw czytaniu w szkole Trylogji, a w szczególności „Ogniem i mieczem“. To jest „niepedagogiczne“. To „drażni“ Ukraińców.

Odrazu dodajmy: nie chodzi o szkoły ukraińskie. Teza, że nie należy zmuszać dzieci ukraińskich do czytania „Ogniem i mieczem“, byłaby do obronienia. Osobiście uważam ją za słuszną.

Ale tu chodzi o szkoły polskie.

Potem miała miejsce analogiczna konferencja i dyskusja publiczna w Krakowie. Tylko, że tam już przeważna większość uczestników stanęła w obronie Sienkiewicza i jego dzieła.

Posypały się następnie wiadomości o różnych wystąpieniach przeciw Sienkiewiczowi także w innych stronach Polski.

Wreszcie przyszła kampanja p. Olgierda Górki: serja artykułów w „Pionie“ i dwie na ten temat konferencje, w Krakowie i w Warszawie.

Istny ogień artyleryjski! Systematyczne i wszechstronne przygotowanie do decydującego ataku.

Atak ma nastąpić w roku przyszłym. Bo oto, jak się dowiadujemy z „I.K.C.“ (z 6 bm.), według projektu nowego programu, w przyszłym roku szkolnym „Trylogja“ Sienkiewicza ma już się znaleźć na banicji“.

Co więcej! Jak twierdzi „I.K.C.“ (przytaczamy dosłownie):

„Bez wszelkiego rozgłosu zostały całkowicie już usunięte z lektury „dozwolonej“(?) dla młodzieży... takie arcydzieła Sienkiewicza, jak „W pustyni i puszczy“ oraz „Krzyżacy“.

Autor artykuliku przytoczonego powiada, że „niepodobna odgadnąć“ motywów tego ostatniego zarządzenia. Dlaczego? Co do „Krzyżaków“, wydaje się ono logiczne. Jeśli dzieciom polskim nie ma być wolno czytać „Ogniem i Mieczem“, bo to „drażni Ukraińców“, to w konsekwencji nie powinny też czytać „Krzyżaków“, bo to „drażnić“ może Niemców. W dalszej konsekwencji powinnaby się znaleźć na indeksie także np. „Lalka“ Prusa, bo tam są rzeczy, które mogłyby drażnić Żydów, i t. d.

Trudniejsza sprawa, gdy chodzi o książkę „W pustyni i w puszczy“. Kogóż to drażnić może? Chyba lwy, z których jeden pada z ręki Stasia? Bo już np. słoń został przecie... „rozbrojony moralnie“... Czyżby moralne było tylko polowanie na zające?

I.K.C. wyraża nadzieję, że Akademja Literatury, która na życzenie p. ministra ma się wypowiedzieć w sprawie nowych programów, weźmie w obronę Sienkiewicza. Bądź co bądź także kolega, i także laureat...

Niestety! Dokładnie w tydzień później, bo 13 stycznia ukázał się numer „Pionu“, w którym ogłoszono relację z dyskusji Akademików nad programami szkolnemi. Powitano je z uznaniem. O Sienkiewiczu wedle sprawozdania „Pionu“, była tylko jedna wzmianka. Mianowicie, p. Zofja Nałkowska o lekturze szkolnej miała powiedzieć (przytaczamy z „Pionu“):

„Zadaniem szkoły byłoby raczej kierować temi zaciekawieniami, korygować je, a nie pozostawiać ich tylko przypadkowi. Inaczej uczeń nadal zwracać się będzie do lektury sensacyjnej, do scen walk i tortur, czemu tak sprzyja lektura choćby Sienkiewicza. Szkoła niechby narzucała zainteresowania wyższego rzędu“.

Sienkiewicz tedy, zdaniem p. Nałkowskiej, (o ile streszczenie „Pionu“ jest ścisłe), budzi zainteresowania *niższego* rzędu, do „literatury sensacyjnej“ (!), do scen walk i tortur.

Myślałby kto, że rzeczywistość dziś to sielanka! O istnieniu walk i tortur młodzież współczesna dowiedzieć się może już tylko z Sienkiewicza. W życiu ich niema! Dusze wrażliwe i czułe całą siłę protestu kierować muszą przeciw okrucieństwom w lekturze. Może dlatego brak im już czujności i energji do spostrzegania i zwalczania zła w życiu... Jak to przed stu laty, pod rządami Konstantego i Nowosilcowa, zarzucano Mickiewiczowi?

„Nasz naród scen okrutnych, gwałtownych nie lubi...

„Trzody, cienie... Słowianie, my lubim sielanki...“.

Niewątpliwie, Sienkiewicz w powieści historycznej kreśli czasem sceny okrutne. Ale czyni to na tle epoki, w perspektywie ówczesnych pojęć etycznych i historycznego oddalenia! I daje *sąd moralny*, którego brak odczuwa się tak dotkliwie w pseudosielankowej rzeczywistości współczesnej. Dlatego polityka zatajania przed młodzieżą polską światowej sławy arcydzieł Sienkiewiczowskich byłaby podwójnie polityką strusią: co do faktów, i co do opinji.

W każdym razie naiwna nadzieja na odsiecz Akademji w obronie Sienkiewicza na całej linji zawiodła.

•

Przechodzimy do argumentów p. Górki. To jest najpoważniejszy odcinek szturmu: kolubryny historyczne.

Postacie i wypadki, przedstawione w „Ogniem i mieczem“, nie są jakoby ściśle zgodne z historyczną rzeczywistością. Niektóre — jak typy Jaremy czy Skrzetuskiego — są nawet zupełnie niezgodne.

Czy p. Górka udowodnił swoją tezę? Odpowiedź mogą dać tylko znawcy epoki. Jak dotąd historycy, także zbliżeni politycznie do autora, kwestjonują cały szereg jego argumentów. Naogół ma się wrażenie, że p. Górka przesadził i przejaskrawił wprawdzie niejedno, ale istotnie wzbudził uzasadnioną wątpliwość co do historycznej ścisłości źródeł, na których Sienkiewicz oparł się w swojej powieści.

Co stąd wynika?

Polemika p. Górki jest polemiką z historykiem Kubalą, który stanowił główne źródło Sienkiewicza. Ale nie dotyka Sienkiewicza. Literacka wartość dzieła oparta jest wszakże nie na faktycznej, dokumentalnej, ścisłości szczegółów, ale na artystycznej żywości obrazu i psychologicznej prawdzie postaci.

Z tego punktu widzenia można zarzucić, i zarzucało się zawsze, że Skrzetuski np. jest zbyt wyidealizowany, a Wołodyjowski w „Ogniem i mieszem“ — jeszcze zbyt schematyczny i t. p. Ale czy Jarema historyczny był taki akurat właśnie, jak Jarema sienkiewiczowski, czy w rzeczywistości był zupełnie inny, to jest kwestja czysto historyczna, z literaturą nie ma nic wspólnego. Z punktu widzenia krytyki literackiej obchodzi nas tylko pytanie, czy Jarema z powieści jest psychologicznie żywy? a historycznie czy co najwyżej jest prawdopodobny?

Odpowiedź na pierwsze pytanie daje fakt, że oddziałał z taką mocą na wyobraźnię całych pokoleń, czemu i p. Górka nie przeczy, nad czem — ubolewa.

Natomiast, na drugie pytanie odpowiada p. Górka przecząco. Ale dlaczego? Chodzi wszakże o epokę, która wydała Żółkiewskiego i Chodkiewicza, Czarnieckiego i Sobieskiego. Wiek, który dał Polsce Żółkiewskiego, mógł dać i Sienkiewiczowskiego Jaremę. Mógł! Dla literatury to wystarcza.

A teraz zasadnicze pytanie: czy właściwe jest wogóle tego rodzaju historyczne „podejście“ do jednego z arcydzieł literatury narodowej i światowej zarazem?

Kto we Włoszech usunie z programu edukacji narodowej „Boską Komedję“ Dantego, dlatego, że przedstawia sceny okrutne, albo fakty nieścisłe i nieraz niewątpliwie stronniczo ujęte? albo, że nawet tendencja polityczna tego dzieła była już wówczas miejscami napewno błędna? Np., gdy Dante marzy o przywróceniu potęgi cesarstwa rzymsko-niemieckiego, w czasie, gdy to już było politycznym anachronizmem, gdy chodziło, przeciwnie, o wyzwolenie Włoch odrodzonych z pod niemieckiej przewagi?...

Kto w Anglji czy Szkocji zwalczać będzie Szekspira, dlatego, że Makbet historyczny był, w przeciwieństwie do szekspirowskiego Makbeta, wcale sobie porządnym królem, a pani Makbetowa — zwykłą, poczciwą, Bogu ducha winną królową? Też „obraz odwrócony“. I nikt z tego tytułu procesu pośmiertnego Szekspirowi nie wytacza. A już, jeśli o „sceny okrutne“ chodzi, autor „Makbeta“, „Otella“ i „Króla Lira“, z pewnością Sienkiewiczowi pierwszeństwa nie ustąpi... I jakoś nerwy angielskie to znoszą spokojnie. A źle na tem nie wyszły.

*

Najważniejsza jest może wielokrotnie w ciągu tej kampanji podnoszona wątpliwość co do *pedagogicznej* wartości sienkiewiczowskiego dzieła.

Oto zarzut, który nie może nie zdumiewać. Zwłaszcza w ustach ludzi, którzy się uważają za literackich przedstawicieli obozu legjonowego w Polsce.

Bo przecie żaden pisarz nie wpłynął tak potężnie na rozbudzenie ducha żołnierskiego w pokoleniu przedwojennem wogóle i legjonowem w szczególności, jak Sienkiewicz właśnie! I właśnie przez Trylogję!

Tomiki Trylogji w plecakach towarzyszyły młodziutkim żołnierzom legjonowym aż do okopów i stanowiły najulubieńszą lekturę w polu, w rezerwie, rozpożyczane i wyczytywane, aż do ostatnich granic wytrzymałości książki, aż dopóki nie rozpadały się w strzępy.

I nic może bardziej nie świadczy o bezpośrednim żywym wpływie pedagogicznym Sienkiewicza na „dłubinosków“, jak fakt, że nazwiska wszystkich niemal bohaterów Trylogji a zwłaszcza „Ogniem i mieczem“ posłużyły im jako pseudonimy. Ożyli więc w szeregach legjonowych: Skrzetuski, Zagłoba, Wołodyjowski i Podbipięta, i osobno Longinus i Kmicic, i Zaćwilichowski (niezależnie od autentycznego, także pseudonim z Sienkiewicza wzięty), i Jarema i dwu Bohunów (widać, kozaczyzna nie była przedstawiona tak bardzo odstręczająco, skoro znalazło się aż dwu Bohunów, a tylko jeden Jarema), i Butrym, i Nowowiejski, i wielu innych.

Oto były wzory i ideały! A teraz się mówi: niepedagogiczne. A teraz: hajże na Sienkiewicza!

Jedna pociecha.

Ten potężny wpływ Sienkiewicza na młodzież zaznaczył się w epoce, kiedy jego pisma nie wchodziły w skład przepisanej lektury szkolnej. Szkoła zrezygnuje z nich i dzisiaj? Tem gorzej, niestety, dla — szkoły. Ale kto wie, czy nie tem lepiej dla Sienkiewicza i — młodzieży. Wpływ zostanie i działać będzie podawnemu, bezpośredni i świeży, nie obciążony bagażem żmudnej i suchej analizy tekstów, czy legendarnych już „wykresów“. Sienkiewicz — przetrzyma.

Alfred Jesionowski

Uzasadnione pretensje

Nowaczyński wciąż do kogoś, wciąż o coś ma pretensje: to zaniedbane, tamto zlekceważone — o tem nie pisano, o tamtem nie mówiono — tego nie wiecie, tamtego nie znacie — na co właściwie czekacie? Pretensje swoje wypowiada z pasją, z furją nieledwie. Ubiera je po swojemu w słowa skrzące dowcipem, to pełne ironji lub zgoła sarkazmu. Wszystko mu służy za punkt wyjścia; jakaś reminiscencja, notatka prasowa, nowa książka, premjera teatralna lub kinowa, jakiś szczegół z lektury, uprawianej przez Nowaczyńskiego na wielką skalę. Są tematy, które podejmuje wciąż na nowo (wpływ kultury polskiej na zagranicę), tematy, które redukuje lub rozszerza (Heine, Esterki, wpływy semickie na umysłowość aryjską), zależnie od materjałów, jakie nagromadził ten grand liseur. Pretensje te odnoszą się do naszych zaniedbań kulturalnych, pominięć wydarzeń istotnych z życia intelektualnego, karygodnych częstokroć przeoczeń ważnych dla nas zagadnień. To chłoszcze Nowaczyński lenistwo umysłowe rozmaitych Schöngeist'ów, pseudo-literatów, lekkomyślne zasklepianie się w ciasnym partykularzu, to demaskuje przereklamowane wielkości lub fakty, wpychając je w ramy odpowiednie, redukując je do rozmiarów właściwych. Nie schlebia, nie komplementuje — rżnie prawdę prosto z mostu. W konsekwencji dopina swego: zmusza do podjęcia poruszonej kwestji, pakuje kij w mrowisko, incytuje do gruntownego zbadania podniesionego przez siebie zagadnienia, podnieca, trzyma w napięciu, rzuca garść ciekawych materjałów, zachęcając specjalistów do oświetlenia spraw przez się zaznaczonych.

Absolutna bezwzględność w ujmowaniu poszczególnych zagadnień zyskuje mu z jednej strony zażartych nieprzyjaciół, z drugiej fanatycznych wielbicieli. Jeśli się Nowaczyński sprawą przejmie, jeśli mu się wyda godną uwagi i szerszego zainteresowania — kładzie w ujęcie tego zagadnienia cały swój talent i pasję pisarską. Zdarzy mu się wtedy, że przyrówna Faleńskiego do.... Pascala lub Montaigne'a, lub zapomni, że o danej sprawie kiedyś dawniej inny wydał sąd. Czasem jest to tylko wynikiem przekory, z wrodzonej chęci przekpienia, jak to obserwować można na przykładzie *Heinego*. Jeśli bowiem porównamy napisany w lutym 1929 r. w *Tęczy* poznańskiej artykuł p. t. „Prawdziwy Heine“ z artykułem w świeżo wydanym zbiorze szkiców i studjów p. t. *Tylko dla kobiet* (Rój — 1934) [1]), zauważymy dwie zupełnie odmienne postawy Nowaczyńskiego wobec świetnego liryka niemieckiego, nie będące bynajmniej wynikiem zmiany przekonań Nowaczyńskiego na ten temat, kiedy materjałów obciążających Heinego od tego czasu raczej przybyło — ale przekory wobec stanowiska Bałabana i Cejtlina.

Nowaczyński-inicjator, stimulus (Exspectas, dum te stimulis fodiam?) jaśnieje w całej glorji w tak znakomitych studjach, jak o Faleńskim i o E. T. A. Hoffmannie. Ostatni szczególnie, to istna kopalnia rewelacyjnych wiadomości o tym znanym pisarzu niemieckim, ożenionym z Polką Trzcińską. Trzebaby istotnie, aby ktoś z naszych germanistów zabrał się do zbadania, co ten prekursor Poego zawdzięcza polskim wpływom, polskiej kulturze. Nie będzie to już przyczynek, ale sprawa zasadnicza, dużej dla nas wagi, szczególnie w dobie „Kulturkunde“ i aktualizacji nauki szkolnej. „Podejście“ do Hoffmanna, którego w nauce literatury niemieckiej niepodobna pominąć, od „strony Nowaczyńskiego“ naukę tę znakomicie odświeży i ożywi. Romanista lub historyk kultury, który się zabierze do opracowania wpływów polskich na kulturę, piśmiennictwo francuskie znajdzie wiele interesujących materjałów i wskazówek w szkicach Nowaczyńskiego p. .t. „Marata“, powieść polska — Piękna Pani Przeździecka i innych szkicach tego zbioru. Sporo tam danych bibljograficznych, ciekawych uwag, myśli i spostrzeżeń, które wprost krzyczą o to, by je ująć szerzej i dokładniej, by im swą uwagę poświęcił badacz specjalista.

Zebranie ogłoszonych po rozmaitych pismach feljetonów i szkiców w pewną całość wyszło tym utworom bezwzględnie na korzyść, daje czytelnikowi możność wyrobienia sobie dokładniejszego poglądu na znaczenie i twórczość Nowaczyńskiego, w której zaszły dostrzegalne zmiany. Uderza w pierwszym rzędzie, że ostrze dowcipu bynajmniej się nie stępiło przy złagodzeniu języka, że stanowisko Nowaczyńskiego jako pisarza i publicysty odznacza się większym objektywizmem, wzmożonem poczuciem odpowiedzialności. Nie bawią go już tak jak dawniej kpiny, inwektywy, ostre żarty. Kwestje, w którychby sobie dawniej Nowaczyński był użył, ile wlezie, potraktowane są obecnie znacznie chłodniej i spokojniej, choć bynajmniej niemniej ciekawie i zajmująco. (Sztuka o Esterce - - Pierre Romus — Hormonologja). Przy takiem potraktowaniu sprawy — sprawa sama ogromnie zyskuje. Gdyby o Jakóbie Wojciechowskim napisano więcej podobnych artykułów, jak to uczynił Nowaczyński (Samson wśród Filistynek) — byłby filozof barciński znacznie lepiej na tem wyszedł dla własnej swej twórczości, bo, że pobyt w Warszawie i „powszechne“ zainteresowanie się Wojciechowskiego wypaczyły, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Mniej zrozumiałe jest natomiast stanowisko Nowaczyńskiego wobec Matuliwny, jakkolwiek ogólne uwagi o naszym stosunku do spraw kulturalnych ruskich nie są pozbawione słuszności.

Na czoło całego tego nowego zbioru studjów i szkiców wysuwają się trzy: wspomniany już artykuł p. t. Frau Hoffmann née Trzcińska, doskonały szkic o Przybyszewskim (Dagny i Przybysz) i ostatni w zbiorze: Undset i Nałkowska. Relacje Nowaczyńskiego na temat Przybyszewskiego ciekawe są nietylko dlatego, że autor był bezpośrednim świadkiem i jednym z najbliższych uczestników „nowej ery“, jaka nastała z przyjazdem Przybyszewskiego z Berlina do Krakowa, ale dlatego, że autor włożył w te, pełne ciekawych szczegółów biograficznych wspomnienia treść własną, dał charakterystykę ówczesnej atmosfery intelektualnej Krakowa, jak i Przybyszewskiego samego, opętanego wówczas specyficzną i brzemienną dla niego w skutki umysłowością semicką Mombart'ów, Ansorge'ów, Jacobowskich i innych Schögeist'ów „Berlin des Westens“; kreśli jego dalszą ewolucję duchową, przemiany, jakie się dokonały w Przybyszewskim podczas dalszego utrudzonego życia i karjery pisarskiej. Jak w innych studjach Nowaczyński prowokuje i kusi uczonych i badaczy do podjęcia rzuconej rękawicy, podniesionych przezeń zagadnień — tak tu podnieca artystów do zajęcia się życiom autora „Snów Szatana“, życiem obfitującem w najrozmaitsze perypetje, gorzkie i bolesne doświadczenia, tragedje własne i przezeń wywołane, historje nieszczęśliwych małżeństw i losów dzieci, rozrzuconych po świecie (Rosja — Szwecja — Niemcy), wzajemnie nie znających się. Materjały nie na jedną „vie romancée“. W tym stosunkowo niewielkim szkicu, napisanym po mistrzowsku, występuje postać Przybyszewskiego ogromnie plastycznie na tle burzliwych przeżyć, szkic staje się barwnym dokumentem, którego żaden przyszły monografista czy biograf tragicznego pisarza nie będzie mógł pominąć, ani pominąć nie zechce.

Nowaczyński sam odkrywa tu pewne zakamarki swojej duszy, kładzie akcent na problem, który dotąd tak wyraziście w twórczości jego nie występował. Akcent ten występuje szczególnie silnie w szkicu (Undset a Nałkowska), zamyka emocjonującą podróż, jaką myśl nasza odbyła wśród najróżnorodniejszych zagadnień, poruszonych w tej ciekawej książce. Analizując świetną sztukę Nałkowskiej „Dom Kobiet“, podnosi autor pewien uderzający brak: „Wśród tej grupy Polek, kobiet polskich, kobiet w Polsce nie pada ani razu słowo Bóg — ani słowa: wiara, religja, dogmat“. Ten istotnie znamienny szczegół u polskiej autorki, która bohaterkami swej tragedji uczyniła polskie kobiety — to wspomniany problem, nim zamyka Nowaczyński tom swoich rozważań, odpowiadając na pytanie znanego austrjackiego pisarza Werfela: „Czy możemy żyć bez wiary w Boga?“ — — — możemy, ale jakże beznadziejnie! jak tragicznie! jak bez celu! jak bez słońca! Dla postawy pisarskiej Nowaczyńskiego fakt, że właśnie ten szkic, te słowa umieścił jako efekt końcowy, nie jest bez znaczenia, świadczy o tem, że szeroka skala talentu, psychika autora wzbogaciła się o nowe pierwiastki, że zamierza zwrócić baczniejszą uwagę na kwestję, która dziś absorbuje elitę umysłową całego świata.

Tom szkiców Nowaczyńskiego, chociaż przeznaczony, jak tytuł mówi „tylko dla kobiet“ (jako że mowa przeważnie o kobietach lub o sprawach z niemi związanych) jest wysoce zajmującą lekturą dla wszystkich, zarówno przez szeroki dobór tematów, jak i bogactwo myśli i przepyszny, właściwy Nowaczyńskiemu styl.

[1]) *Adolf Nowaczyński:* Tylko dla Kobiet. Warszawa. 1934. Tow. Wyd. Rój. Str. 257. Cena 3 zł.

Sprostowanie

W feljetonie moim wydrukowanym w literackim dodatku „ABC“ z dn. 11. I. b. r. wkradły się następujące pomyłki i ominięcia, które paczą tekst artykułu:

1) Tytuł brzmiał nie „Literatura ropna“, lecz: „O prawo“, gdyż jestem przeciwniczką metody Celine'a, polegającej na podkreślaniu znaczenia ropy (we wszelkiej postaci) a omijaniu doniosłości prawdy.

2) Książka nie „zdobyła tegorocznej nagrody Goncourtów“, która, jak wiadomo, przypadła A. Malraux za „La condition humaine“, lecz: „o mało nie zdobyła“ etc.

3) Po zdaniu: „To dopiero działa, to też czytelnik doświadcza tego“... opuszczony jest cały dłuższy ustęp następujący: „...i choruje (czytelnik) razem z bohaterem. Bo całe opowiadanie jest chore. Bywa choroba na dalekóść i nazywa się nostalgia. A bywa choroba na małość i nazywa się w tym wypadku „podróżą do kresu nocy“. To nie jest wcale powiedziane w sensie żadnej przenośni: choroba to jest straszliwa“.

4) Zamiast „powieść, która wlecze“ powinno być:

„Powieść, która wlekąc człowieka od pola bitwy do szpitala warjatów — operuje prawdą a oddycha fałszem!“ (zdanie kursywą, podkreślone).

5) W końcowym ustępie nie powinno brzmieć:

„Tem jest książka Celine'a, lecz powinno być:

„Tem jest (pomniejszaniem) książka Celine'a. Czy ciekawa?“

Z poważaniem
Izabella Lutosławska

Toruń.

Jerzy Konopacki

Współcześni o „Panu Tadeuszu“, „Kordjanie“ i „Nieboskiej”

Lat temu 100 — i dziś... Przestrzeń w dziejach literatury ogromna. Czy trwa postęp w tej dzedzinie i współczesne utwory podobnie znamionują epokę. jak dawne dzieła. o których wypowiadomo sądy najprzeciwniejsze, aby wkońcu, patrząc pod kątem wieczności. uznać je za klejnoty narodowe? Niestety, małoznaczność współczesnej nam literatury okazuje się, gdy czynimy porównanie z okresu lat zprzed wieku: 1834 — 1934. Ze skarbnicy 1834 r. czerpać będziemy zawsze: różnie brzmiące głosy krytyków sprzed stulecia nie położyły się cieniem na wielkie dzieła. — Lat temu sto ukazało się przecież pierwsze wydanie „Kordjana“, „Pana Tadeusza“. „Nieboskiej Komedji“. Wówczas także skończył Mochnacki marmurowe dzieło o Powstaniu Narodu Polskiego, a Goszczyński rozniecił płomień swojej „Sobótki“.

Przedtem?... Na 50 lat przedtem, ks. biskup Krasicki drukował „Pana Podstolego“ — obraz życia wiejskiego, odmienny od żyjącej społecznie wsi z „Pana Tadeusza“, ale prawdziwy, nieco podobny do dziejów gen. Kunickiego z „Listopada“. Równocześnie z „Panem Podstolim“ wyszedł „Sarmatyzm“, komedja obyczajowa Zabłockiego. Na to stać było wiek XVIII. Przeto tak wielki, że zmierzyć wstecz można dwuchsetleciem: z „Zielnikiem“ Falimierza, wydanym w 1584 r. — Nie. Pieśń roku 1834-go jest nieporównana.

Jakże jednak sądzili współcześni o zjawiskach polskiej literatury? Niektóre „osądy“ mogłyby wprost „przesądzić“, że krytyka literacka jest śmiesznością; gorzej: jest zbyteczną; to przypomina wielu tegoczesnych szermierzów pióra, pracujących tylko: przy literaturze; niemniej, pojawiły się sądy sprawiedliwe, zawiść milkła wobec światła dzieł dokonanych.

Zygmunt Krasiński, jesienią 1834 r., pisał do przyjaciela, poety Gaszyńskiego:

„Pan Tadeusz“ jest Epopcą drobnej szlachty naszej, jest wiecznym, jak Don Quichotte, jak Poliszynel we Włoszech, przenosi o cztery głowy Monachomachię jedynem jest dziełem dla Polski. Wallenrod jest poema arystokratyczne, Pan Tadeusz jest poematem drobnej szlachty“

Jeszcze przed ukazaniem się w druku naszej epopei, krążyły o niej różne wieści. Słowacki, natchniony przez złe duchy swego otoczenia paryskiego, pisał do matki:

„Pan Tadeusz jest to szlachcic na Litwie, który się awanturuje między 1811 — 1812“.

Juljan Ursyn - Niemcewicz zapisał w pamiętniku, pod dniem 15 marca 1934 r.:

„Adam Mickiewicz, urodzony z prawdziwym do poezji talentem, oświadczył się czytać mi nowe poema swoje. W dwunastu księgach treść jego domowa zawiera trafne i szczęśliwie skreślone obrazy dawnych, niknących już obyczajów polskich. Charaktery malowane wybornie. Im bardziej obce panowanie zatraca narodowość naszą, tem bardziej skreślone w poemacie tym pamiątki droższemi potomności staną się“.

Oto był głos pisarza przedromantycznego, krewnego klasycyzmu. Znamienne, że romantycy mieli zdanie rozbieżne.

Słowacki, przeczytawszy „Pana Tadeusza“, wygłosił sąd samodzielny, który przynosi mu zaszczyt — szlachetność duszy autora „Kordjana“ unicestwiła uczucia żalu i współzawodnictwa:

„Bardzo piękny poemat, podobny do romansu Walter Scotta, wierszem napisanego. Dom szlachcica maluje się wybornie; heroina poematu, choć gęsi pasie, ma jakąś świeżość dawnych opisów, coś dziwnie zachwycającego prostotą... Wiele opisów miejsc, nieba, stawów, lasów jest mistrzowską ręką skreślonych. Natura cała żyje i czuje. Poemat raczej żartobliwy, niż smutny, a jednak często z najweselszych napozór miejsc smutek ujmuje człowieka. Jest to poemat zupełnie innego rodzaju, niż wszystkie dotąd Adama utwory. Nadewszystko jest w tym poemacie opis łowca, dmącego w róg myśliwski, cudowny opis“. (List Słowackiego do matki, z dnia 18 grudnia 1834 r.).

Czy te obrazy sielanki szlacheckiej nie wzbudziły widzeń Słowackiego ze „Złotej Czaszki“?

Znamienne, jak proza ówczesna jest zawiłą, wielosłowną w porównaniu z prawdziwą poezją; dowodem są nazbyt śmiałe rozważania znanego i poważnego, mimo wszystko, myśliciela—poety Witwickiego, który wkrótce po ukazaniu się drukiem „Pana Tadeusza“, rozwiódł się w ten wykwintny deseń:

„Tylko, że w Panu Tadeuszu dawna Polska jest pokazana, że tak powiem, z szarego końca i w tataratce folwarcznej, zaściankowej; już upstrzona i rozrabiana cudzoziemszczyzną, co pójść naturalnie musiało za osadzeniem treści poematu w czasach porozbiorowych i ostatnich. Mickiewicz, którego umysł przeznaczony jest do pomysłów szlachetnych, do rzeczy wzniosłych i niepospolitych, wprowadziwszy się w towarzystwo Rózeczek, Brzytewek, Scyzoryków, Konewek, i tym podobnych różnego gatunku oryginałów, był prawie w położeniu magnata, który znachodząc się przypadkiem w jakiejś niskiej i niewłaściwej sobie kompanji, nie umie szczerze przyjąć jej tonu, a chcąc być z nią w mierze łatwo przesadza. Stąd w niektórych miejscach Pana Tadeusza, to co miało być spokojnem malowidłem, zostało humorystycznem przedrzyźnianiem“.

Wytworny Witwicki, o którym ze wspomnień Odyńca wiemy, że był statecznym filistrem, niechcący żałował, że Mickiewicz pochodził i urodził się w tej „niskiej i niewłaściwej sobie kompanji“. Weyssenhoff w wieku 20-ym bolał nad wulgarnością Wyspiańskiego. Cóż współcześni Witwiccy pisaliby o „Chłopach“ Reymonta? Na szczęście, milczeli; to okazuje postęp, zdobyty jednak po przykrych doświadczeniach rzeczywistej przesady realizmów.

„Kordjan“ Słowackiego uczynił wrażenie. Senator literatury, matador krytyki literackiej z salonów politycznych, Juljan Ursyn Niemcewicz, twórca rozgłośnych „Śpiewów Historycznych“, zapisał w pamiętniku. dnia 27 lutego 1834 r.:

„Powróciwszy do siebie, znalazłem przysłane mi przez p. Błotnickiego nowe poema jednego z warjatów naszych, pod tytułem „Kordyan“. Co za farsy, banialuki, czarty, czarownice, papież, papuga, car, Konstanty; oszkalowani pierwsi obywatele do rewolucji ostatniej wchodzący; wszystko to w najdziwaczniejszym wierszu znajduje się w tym dramacie. Hołota wygnańców naszych szuka wszelkiemi sposobami, aby się pozbyć przepełniającego piersi ich jadu. Jak wąż Boa okrywa ona śliną swoją wszystkich, co jeszcze są uczciwemi. Nigdy jeszcze nie było tylu bazgraczów“.

Nawiasem jednak. trzeba zauważyć, że pamiętniki Niemcewicza są niedocenione; mimo wszystko jest to skarbiec wiadomości nietylko o emigracji, nietylko charakterystyka nieznana wybitnych postaci (gen. Dwernicki—zadłużony po uszy, rozromansowany w najgorszym stylu), ale przyczynek wogóle do poznania umysłowości polskiej i francuskiej (prezes izby deputowanych w Paryżu, klnący tych sacré Polaków, których chciałby wysłać do Afryki). Wszystko to pisane przez człowieka ogromnie doświadczonego i patrjotę, choć nie pojmował „Kordjana“ — dzieło walczące. Pamiętniki Matuszewicza, z 18-go wieku (a nie falsze J. D. Ochockiego) i Niemcewicza — z pierwszej połowy 19-go stulecia powinny być spopularyzowane.

W kilka tygodni po wydrukowaniu „Kordjana“. w kwietniu 1834 r., wpływowy dziennik „Le Polonais“, w którym poprzednio drukowano fragmenty z „Dziadów“. rozebrzmiał recenzją o „Kordjanie“. Podano treść dramatu i zauważono, że z dzieła poznać łatwo autora, kryjącego nazwisko:

„Jest to młodźieniec, dobrze znany przez naszych rodaków. Złożył on już dowody talentu, a obecna książka pozwala spodziewać się jeszcze więcej po nim... Nowy ten utwór, jak i pierwsze tego autora, odznacza się bogactwem rytm, czystością i siłą języka, harmonją, doborem wyrażeń. Poeta uderza czytelnika śmiałością wyrażenia i rozwijania swej myśli. Ale za mało przemawia do serca, nie sprawia należytego wrażenia. Nie chcemy go sądzić według prawideł sztuki. Nie będziemy mówili o toku poematu, o sposobie rozwijania akcji. Darujemy mu nawet błędy historyczne; talent może do pewnego stopnia usprawiedliwić kaprysy wyobraźni. Wolno poecie uchylać się trochę od prawdy ... — Chcielibyśmy za to inną w nim znaleźć zaletę: naturalność. Zdaje się, że muza autora Kordyana więcej czerpała z książek i opowiadań, aniżeli z natury i rzeczywistości, i oto dlatego jest nieco teatralną. Ale muza ta jest młodą“.

Tu nie można zgodzić się z jednym z krytyków. piszącym lat temu 30, że recenzja ta była „zadziwiająco mądrą“, choć nawet przypuszczają, że pisał ją Mickiewicz. Istotnie może jest teatralność życiowa w wielu dziełach autora „Kordjana“, ale zawsze trwa w nich czysta prawda życia romantycznego. Jakkolwiekbądź, gdy na łamach pisma a nie w liście prywatnym poeci wypowiadali zdanie o dziełach współzawodnika, to znamionowała ich bezstronność; sam Słowacki, zanim ocenił i poznał ostatnie dzieła Mickiewicza, pisał o nim lekceważąco:

„...ten Adam, to czysty szczap suchy, ma minę lokaja najczęściej, czasem szalonego od Bonifratrów i nie lubi nosić guzików...“ (sic!).

Małostkowość tak powierzchownych sądów niknęła w blasku dzieła.

W przeciwstawieniu do „Kordjana“, wydana w tymże 1834 r. „Nieboska Komedja“ długo czekała na poważniejszą ocenę. Pierwszy nakład został zniszczony przez płochliwego wydawcę; 2-gie wydanie w 1835 r.

23 sierpnia 1834 r. Krasiński pisał do Gaszyńskiego:

„Mój Agay - Han wielkie, jak słyszę, robi wrażenie w Galicji, Krakowie i Poznańskiem“.

Była to mowa o powieści z dziejów życia Maryny Mniszchówny. Tymczasem o „Nieboskiej“ dopiero w 9 lat, po jej pierwszem wydaniu, wygłosił pre lekcję Mickiewicz, który szczególną uwagę zwrócił na treść rozmowy Hrabiego Henryka z Pankracym, i wykazał możliwość takiej dysputy:

„Panowie polscy (z końca 18-go wieku) często miewali podobne rozmowy. Książę Czartoryski, Andrzej Zamoyski, król Stanisław August nieraz rozprawiali o rzeczach politycznych i społecznych z ambasadorami rosyjskimi, którzy byli także rodzajem Pankracych... (sic! nasz przypis.) Pankracy i Hrabia nie są tu Pompejuszem i Cezarem, ale podobni są bardzo do Maryusza i Sulli, poprzedników Cezara“.

O epilogu „Nieboskiej“ Mickiewicz wyraża się z zachwytem:

„To zakończenię dramatu jest przepyszne, nie mamy nic równego. Prawda nie była ani przy Hrabi, ani przy Pankracym, unosiła się nad nimi i zstąpiła teraz potępić obu“.

Piszący później o „Nieboskiej Komedji“, Julian Klaczko nie zrozumiał tego dzieła i okazał się doktrynerem liberalnym, przedstawicielem tej słabej inteligencji polskiej, ktora dziś kłoni się zresztą tylko przed teorjami Lenina, jako rzekomego przekształciciela ludzkości. Klaczko, liberał - idealista, postanowił uważać Leonarda, ucznia Pankracego za prawdziwego twórcę dzieł postępu i rozjemcę przyszłych pokoleń; Krasiński jednak wbrew sądom krytyków, jasno charakteryzuje Leonarda, jako okrutnika i fanatyka:

„...jaki nóż wisi na jego piersiach“

Sam Leonard, zdradzając swoje zamysły i upodobania, pyta Hrabiego:

„Ty sam, czyją śmiercią się chlubisz?“

„Nieboska Komedja“ żyje i naucza dziś. W 1924 r. wyszedł jej przekład angielski, w 1925 r. — duński, w 1926 r. — włoski, w 1927 r. — wystawiono ją w teatrach niemieckich. Po latach stu. W tymże czasie, przed stuletnią rocznicę Osterling, członek Akademji szwedzkiej, pisał w 1926 r. o „Panu Tadeuszu“:

„Polska może być dumna z tego wspaniałego klejnotu literackiego; doprawdy wątpić można, czy któryś inny naród posiada nowożytną epopeę narodową o równej „Panu Tadeuszowi“ wartości artystycznej“.

Przez sto lat brzmią w Polsce żywe, wznawiające się, pamiętne, tony pieśni z roku 1834-go.

Stanisław Sakłak

ŚPIEWKI*)

Wzrosły te śpiewki powojem
tęsknoty
ku ścianom zagrody mojej
i płotom.

Ku sadom mi się wyrwały
i polom,
pługom, co zagon orały
i dolę.

Ku matce poleciały
kochanej,
przy gospodarstwie dzień cały
od rana —

O ojca się mego dłonie
oparły,
gdy wodził pług po zagonie,
po czarnym —

Czyjejś miłości szukały
bez skutku,
więc w strofki zawód posiały
i smutki. —

MYŚLI

„Kochanie, kochanie,
ciężki obowiązek,
tyle w sercu myśli,
co w lesie gałązek“.

Gałązko, gałązko,
smutnych myśli człeczych,
któż mi cię ze serca
gdzieś w pole odwlecze?

Smutku, szary smutku,
co rośniesz grabiną
w tęsknot moich lesie —
czemuś mnie minął?

Brzezino, brzezino,
w gaju bielejąca,
czemu już ci włosów
nie czesze blask słońca?

A DAJŻE MI BOŻE!...

„A dajże mi, Boże,
okienko w komorze,
będę wyglądała,
kaj Jasieńko orze“.

A może, a może
los dobry odorze
dla mnie skibę jedną
na życia ugorze.

Może mi rozzłoci
pszenicą uwrocie
w letniego południa
słonecznej spiekocie.

A może... któż zgadnie,
dni przyszłe dokładnie —
— kłos czyjej miłości
na serce me padnie. —

DOM I DZIEWCZYNA

„Tu mój dom, tu mój dom,
tu moje mieszkanie,
tu moja dziewczyna,
tu moje kochanie“.

Hej, gdybym ja wiedział,
gdzie dziś mój dom stoi,
gdzie rosną: słonecznik,
maki i powoje,

gdzie chylą się w słońcu
jabłonie i grusze
i modli o szczęście
prosta, twarda dusza:

gdzie pola i gaje,
brzozy, jarzębiny
i słońcu rozśmiana,
— kochana dziewczyna!

JESIENIĄ

„Czerwone jabłuszko.
przekrajane na krzyż,
— czemuż ty dziewczyno,
krzywo na mnie patrzysz“

Słoneczną jesienią
podają jabłonie
roześmianym ustom
jabłek pełne dłonie.

Rozdają dokoła
radości swej dosyt,
jak brzozy pod lasem
złoto swoich włosów.

Na trawie się złoto
z czerwienią wraz kładzie —
— i tylko twojego
uśmiechu brak w sadzie.

MECH

„Siedzi sowa na stodole
skubie mech.
a ten Staszek od Sakłaka,
bodaj zdechł!“

Pewnie dotąd już zielenią
zarósł mech,
tę najdroższą zawsze dla mnie
z wszystkich strzech —

Przed wichrami mi jej broni
sadu cień,
niebu co dnia się uśmiecha
czarna sień.

A stodoła, zgarniająca
życia trud,
błogosławi moim krokom
skrzypem wrót.

POWIEDZ!...

„Obróć-że się, obróć,
Sandomierski młynie,
powiedz mi dziewczyno,
czy mnie kochasz, czy nie“.

Powiedz mi dziewczyno:
(nigdy nie pytałem)
czy drogę zarośnie
nasze kwiecie białe,

czy dłonie twe wonne,
jak kwiatów aksamit,
czy usta, jak wiśnie
— będą tylko dla mnie,

czy oczy rozśmieją
się ku mnie radością.
jak jabłka wśród liści
słońcu w rannej rosie. —

NIE MÓW

„Choćby się Sandomierz
dokoła obrócił,
to ja ci nie powiem,
bobyś się zasmucił“.

Nie mów — pocóż mówić,
kiedy ja wiem o tem.
że zgasną daremne
tęsknoty - sieroty —

Jesień, jesień obok,
i smutek towarzysz,
wiem, że nadaremnie
wiosna mi się marzy.

Nie mów, czasem prawdy
lepiej nie usłyszeć;
czas - pająk zaprzędzie
gorycz tęczą ciszy. —

DZIKICH GĘSI ŚLADEM

„Leciała, krzyczała
biała gęś do nieba;
— każdemu stworzeniu
kochania potrzeba“.

Tęsknot nadaremnych
dzikich gęsi kluczem
biedna ludzka miłość
po polach się włóczy —

Ostatni blask słońca
z przędziwa pajęczyn
na serce swe mota
przeszłej wiosny tęczą —

Złote liście brzezin
u stóp jej szeleszczą...
...i nie wie, czy kiedy
maj wróci jej jeszcze. —

OJCOM

„Pociesz-że mnie, Boże,
pociesz-że mnie, pociesz,
bo mnie nie pocieszy
ni matka, ni ojciec“.

Bóg nam taką związał
serca tęczą złotą,
że jej chyba nigdy
już nikt nie odmota —

Bóg nam gospodarstwa
ziarnem dusze zasiał,
niemasz innej doli
w tym i przyszłym czasie —

Bóg nas trudem przykuł
do plennych zagonów,
jak życie do smutków,
— do niepocieszonych.

DROGA

„Jadę ja se, jadę,
kółko mi się tocy,
nie zajadę we dnie,
to zajadę w nocy.—“

Trzeszczą w kołach szprychy,
dudnią głucho dzwona,
dokądś wóz mnie niesie
drogą zakurzoną.

Mija świt, południe
i wieczór się skrada —
— „Na północ zajedziesz“ —
droga odpowiada. —

Jedzie wóz skurzoną
życia koleiną,
czasem spotka szczęście
— i musi je minąć. —

*) „Śpiewki“ wchodzą w skład niedawno wydanego tomu poezji Stanisława Sakłaka p. t.: **„Zielony Świat”** (Warszawa, 1933, skład główny Gebethner i Wolff). Następne wiersze pochodzą z dawniej wydanego tomu Sakłaka p. t. **„Gospodarstwo”**.

Rodowód

Wyrosłem z potu ziemi, w której się przelewa
w plon zasobny, obfity nurt żywotnych soków.
jestem ziarnem tych kłosów, któreś ty wygrzewał
blasku silny. rodzący się w słonecznem oku.

Rozczapierzył nade mną błękit siną swą banię,
jakby mi chciał rzec słowa: „Dalej wzrokiem nie mierz!“
— a pod szorstką koszulą serce rzekło mu na nie:
— „W ziemię puszczam korzenie, a koronę po niebie“.

Jakże nisko nade mną ciżba gwiazd się rozpiera,
jak w niedzielę kumoszki w przepełnionej nawie,
ktoś z gałęzi je nocą — złote jabłka — pozdzierał
i lśnią teraz wieczyście śród błękitnej trawy.

Wzrosłem z gleby — jak oset kolcem — niebo rozdzieram,
jestem przecie, że jestem, temu chyba wierzysz;
pnie się powój mych uczuć, łeb ku słońcu zadziera;
..ziemia dała mi życie dziś — jutro odbierze.

Chleb

Pamiętam zawsze krzepkie, czarne ręce ojca,
pług wiodzące, co w polu kraje długie skiby,
matki głowę nad dzieżą z ciastem się chylącą,
chleba bochny na ławie — czarne bochny-grzyby.

Ktoś go zrobił, ktoś rzucił w pieca czarną spickę,
rzecz to jasna, jak słońce, oczywiście prosta...
A czy wiesz ty, że przedtem kłos na słońcu dostał,
ciężki plonem kłos żytni — na polu dalekim?

Kumał się wiatr z kłosem — wieczny powsinoga,
sokiem żywym z korzeni wpływała weń gleba,
płomień słońca go tulił uściśnieniem błogiem
— teraz z pieca ludzkiego kłos ten wyszedł chlebem.

Ale przecie przed kłosem był czyjś trud niezwodny,
był siew, była nadzieja, był KTOŚ, co plon mnoży,
cały wszechświat ON posiał trudem — ziarnem rodnem,
z ziarna ciężki kłos wyrósł — chleb na Świecie Bożym.

Kiedyż?...

Kiedyż przyjdzie tu kosiarz
i skosi łan twych domów,
hucząca tysiącem głosów,
SODOMO?!

Kiedyż przyjdzie tu oracz
rozorze w lewo i w prawo
gruzy. gdzie stałaś wczora,
WARSZAWO?!

Kiedyż przyjdzie tu siewacz,
posieje żyto, pszenicę,
w twe ziaren głodne trzewia,
ULICO?!

— Kiedyż przyjdzie tu człowiek
i z nor zatęchłych wygoni
twych niewolników mrowie
— NA SŁOŃCE?!

Kiedyż przyjdzie tu żniwiarz
spojrzeć, jak zboża się plenią
i w słońcu pyszni szczęśliwa
TA ZIEMIA?!

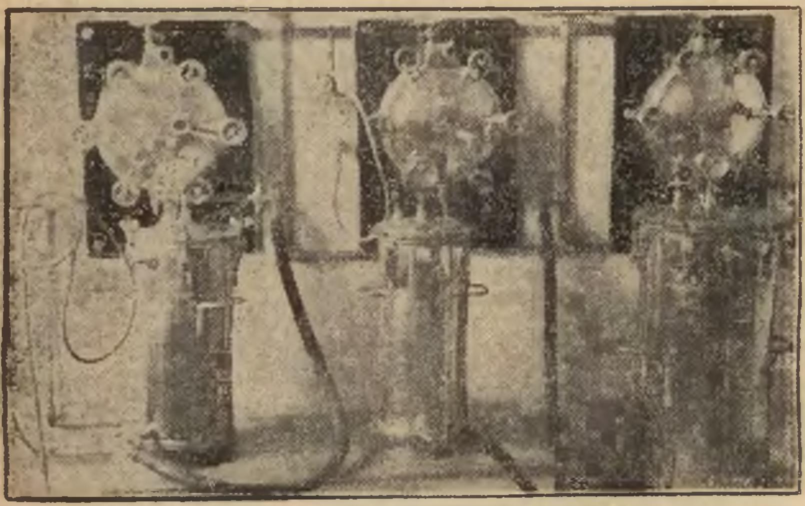
Zdzisław Broncel

Fotografje Edwarda Fikusa

W walce przeciw śmierci

Reportaż z pracowni bakterjologicznej Instytutu Higjeny

Patrzymy z wysoka, jak na wielką, czarną, plastyczną płaszczyznę mapy. Warszawa. Zgórą miljon ludności. Dom obok domu, wielkie murowane bloki stoją w długim szeregu. Przycisnęły się z boków, stłoczyły w grupy, oparły o siebie plecami, czasem stanęły krzywo, zajrzały sobie wzajemnie za przegrody muru twarzami okien, poplątały studnie podwórz i linje oficyn. W każdym domu, w małych prostokątach, milczących i ciemnych śpią ludzie. Pod pogaszonemi lampami przesuwa się całe rojowisko łóżek, tapczanów, kanap, ław,



Oczyszczanie toksyn z bakteryj

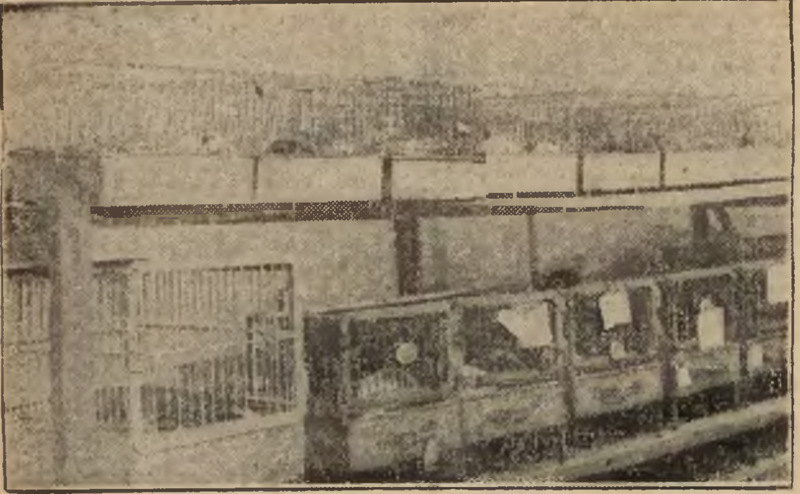
sienników na podłodze — i tłum twarzy. Gdyby ich wszystkich zbudzić i pognać na defiladzie czwórkami przed jakimś rachmistrzem, defilowaliby chyba bez końca.

Ciemność drzemie, pośrodku płaszczyzny przepływa leniwy nurt wody. Miasto zapada się i oddala i staje się wreszcie, jakby powiększonym, teleskopowym obrazem z obcej planety. Zato na ekran widzenia wpływa mgła. Unosi się nad równiną nocy żywa i wirująca. Spada na miasto, wsiąka w szczeliny okien i drzwi, przenika do kwadratów mieszkań, otula ludzi, faluje nad niemi w westchnieniach snu, cicho i kojąco wpełza do gardła, wypełnia płuca, unosi piersi.

W tym samym momencie wśród nocy zapalają się dwa czerwone światła. W dwóch przeciwległych krańcach miasta mrugają sygnały alarmowe, jak latarnie morskie, ustawione przy rafach.

Miasto rośnie, zbliża się, zapełnia całe pola naszego wzroku. Czerwone światło skrwawia ekran. Rozpaczliwie chwyta prąd i karmi swój alarmujący ogień.

W czarnym kwadracie zapalono elektryczność. Zerwali się z łóżek. — Kto to wołał? Czyś to ty krzyczała? Bieganie po pokojach. W dziecinnym trzask kontaktu budzi żarówki. Twarz dziecka jest czerwona. Nad łóżkiem wisi duszność, sucha, wysuszona



Zwierzętarnia

rozpalonym kaloryferem gorączki.

Równocześnie z ostrzegawczemi dzwonami w organizmie — tętno krwi dudni ze wszystkich sił — rozlega się dzwonek telefonu w mieszkaniu lekarza. Z nocy wyrasta samochód. W aptekach dyżurnych jaśniej palą się przyćmione lampy. Fiolki i ampułki nabierają fosforyzującego blasku.

Ciało dziecka drży w gorączce. Lekarz pochylił się nad łóżkiem, wyprostował i powiedział do otaczających go ludzi jedno słowo — surowica!

Obraz niknie i zamiast niego widzimy tablicę z napisem: „Państwowy Zakład Higjeny". Ręka w białym rękawie doktorskiego fartucha stawia datę i wypisuje kredą: „Została wynaleziona. Stosowana praktycznie. Wyrabiana w Polsce. Zmniejszyła śmiertelność choroby o 85 procent".

Jest! Jest ratunek! Nie będzie tak, jak z tym lekarzem krakowskim, który dostał obłędu, przeczytawszy w gazetach w dzień po śmierci synka, depeszę o wynalezieniu surowicy przeciwdyfterytowej.

Drugi czerwony sygnał, na przedmieściu, wyczerpuje swój prąd. Centrala walki ze śmiercią nie odpowiada. Tablice są czarne od niewiedzy. Drut lampki przepala się i gaśnie. Koścista ręka odwraca szarą, szeleszczącą kartkę i stawia nowy krzyż w tablicy zgonów.

Po nocy, po snach, po niepokoju i niepewności, poranek ma spokojne, zrównoważone światło. Czeka już na nas dzień, rozłożył przed nami swoje wszystkie stalowe uchwyty wyznaczonych prac, któremi nas podeprze, dźwignie i mocno ustawi w rzeczywistości.

W szarych gmachach, do wszystkich pokoi przy kurytarzu pierwszego piętra weszli doktorzy i doktorki w fartuchach. Zatarli ręce, rozejrzeli się po laboratorjach; zerknęli na dym kolejki, potem, oto podchodzą do drewnianych podstawek, wyciągają próbówki z dziurek i spoglądają na nie pod światło.

— Jak też ten drobiazg podrosnął? Czy dobrze się rozwija? Czy aby ciepło malutkim? — Tak, tak, gronkowce zaczęły nową kleistą linję w żółtym buljonie. Próbówka z bakterjami ropy pozieleniała. Gruźlica porosła białym grzybem. Śmiertelna oranżerja kwitnie nienajgorzej.

Z pouchylanych drzwi buchnął zapach karbolu i cały gmach dokonał porannego uperfumowania się antyseptyką.

W centrali, w Państwowym Instytucie Higjeny na ul. Chocimskiej puszczono już maszyny. Zawarczały koła i ze świstem pasy transmisyjne zcieniały, zdematerjalizowały się i przeszły w stan wirującego pasma mgły. Razem z przesunięciem wskazówek zegara do niebieskiego pokoju dyrektora działu surowic wpadł promień słońca. Dyrektor, dr. St. Saski, zrzucił marynarkę, włożył biały fartuch i rozpoczął prezentować swój zakład dwóm zwiedzającym.

Centrala jest, jak fabryka amunicji w czasie wojny. Ta wojna trwa wiecznie, nie przerywa jej święto, ani niedziela, dziesiątki tysięcy lekarzy żądają ciągle swej broni, kolumny sanitarne dokonywują szczepień ochronnych, telegraf przynosi wołanie o szczepionkę BCG kresowe ambulatorjum wzywa ratunku przeciw jadowi wścieklizny i jadowi żmij. Zakład Higjeny stoi daleko poza linją frontu walki ze śmiercią. Niema nerwowości i niema patosu linji bojowej. Pracuje w naukowem skupieniu, w chytrych rachunkach mózgu, jak tajne laboratorjum gazowe, koncentruje cały wysiłek na celowości pocisku, który uderzy w chorobę.

Oglądamy pierwsze stadjum pracy. Polega ono na wprzęgnięciu w naszą służbę naszych najgorszych wrogów, ponieważ właśnie bakterje muszą nam wytworzyć toksynę, a następnie przez zastrzyki toksyny koniom, uzyskujemy od nich antytoksynę. Na specjalnych buljonach t. j. pożywkach osadza się kolonja bakterji. Przy nas odbywa się zakażenie probówki. Lekarz zbliża do ognia dwie probówki, zakażoną i czystą, następnie szybko otwiera i odrazu pakuje w gazowy płomień. W tej samej chwili wypala w ogniu platynowy drut i zanurza w buljonie z bakterjami. Teraz szybko przenosi drut do czystej probówki, strząsa zebrany śluz, znów opala otwory probówek i zamyka. Na czystym buljonie zacznie się rozwijać hodowla bakterji. Już w ciągu doby bakterje tak się rozrosną, że, jeśli to będzie ropa, zamienią kolor buljonu w charakterystyczny



Zakażone świnki morskie

zielony odcień ropnia, gronkowce utworzą śluzowate włókna, inne wywołają męt i osad. W miarę trwania hodowli buljon zamieni się w truciznę, ponieważ zostanie zatruty jadami bakteryjnemi, czyli toksynami. Oto nam chodziło. Poto hodujemy zarazki tyfusu, gruźlicy i wszelkich najpodlejszych chorób, żeby otrzymać ich jady.

Hodowla odbywa się w butlach, słojach i cylindrach. Plugawstwo bakterji wygrzewa się w temperaturze 37°, 38°, pieczołowicie utrzymywanej przez człowieka. Najgorszy mróz i najgorsza nędza nie naruszy cieplarnianej wygody. Bakterje panoszą się na sowitym buljonie. Wolnorosnąca gruźlica osnuwa powierzchnię cieczy pomarszczonym, brudno-białym kożuchem. Rosną tu całe wszechświaty choroby. Mikroskopijne bakterje zgromadzone są w tak przerażającej ilości, że możnaby milimetrami zmierzyć grubość gruźliczego kożucha.

Wyszliśmy z laboratorjów na kurytarz i wchodzimy do safesu dla bakterji. Tu jest ten skarbiec wszelkiej zgnilizny. Ukryta, starannie obudowana, wygodnie umieszczona siedziba naszego przyszłego rozkładu i zniszczenia. Zakład jest najeżony śmiercią. Jest gigantycznym potencjałem śmierci.

W środku dziwacznego sanktuarjum stoi piec elektryczny w kształcie słupa, a naokoło na półkach, jak książki w biblijotece, albo lepiej — jak smakołyki w śpiżarni, stoją butelki nabite gronkowcami, tyfusem, tężcem, bakterjami gruźlicy, błonicy (dyfteryt), płonicy (szkarlatyna), cholery i krwawej biegunki.

Z tych zakażonych butli otrzymujemy jad bakteryjny — toksynę. Musi ona być wolna od bakterji żywych, albo przynajmniej mieć ich bardzo mało. W tym celu buljon z bakterjami zostaje przepuszczony przez filtr, który zatrzymuje bakterje, a wydziela płyn z toksynami. Toksyna idzie teraz niszczyć i zabijać — popróbować swej siły. Naprzykład na jad błoniczy są bardzo wrażliwe świnki morskie. Jad zastrzykujemy im pod skórę, albo domięśniowo i czekamy, aż pojawią się reakcje, charakterystyczne dla dyfterytu.

Sprawdzona toksyna zostaje przesłana na folwark do Służewa. Tam jest specjalna hodowla koni i bydła. Stoją zwierzęta, chore, pozakażane, w osobnych boksach, a ich organizm pracuje nad wytworzeniem ciał odpornych. Są jałówki z obandażowanem podbrzuszem, które pociął lancet przed wprowadzeniem ospy, są konie z zaszczepionym dyfterytem. Toksynę zastrzykuje się zwierzęciu w stopniowanych dawkach, ponieważ przy większej porcji zwierzę padłoby odrazu. Jeżeli potrochu zwiększać dawkę, przyzwyczajamy konia do zaraźliwego jadu, czyli zmuszamy jego organizm do wytworzenia antytoksyn. Jest zasadą, że organizm broni się przed bakterją i jej trucizną, wytwarzaniem jakichś tajemniczych ciał, niszczących wrogie siły. Antytoksyny. Tym końskim antytoksynom zawdzięczamy nieraz życie i zdrowie.

W Służewie robią koniom upust krwi i przesyłają krew do centrali na Chocimską. Krew skrzepnie, a wydzielając ze skrzepu część płynną, otrzymujemy surowicę. Trzeba jeszcze tylko wypróbować jej działanie. Sposób jest prosty. Zaraża się



Kamera cieplarniana z hodowlą bakteryj i butlami jadów bakteryjnych

świnki morskie i białe myszy pewną stałą ilością teksyn, a zarazem zastrzykuje się im antytoksynę. Jeżeli surowica jest silna, to zwalczy zarazek. Szybkość postępów zdrowienia albo szybkość postępów choroby dają surowicy świadectwo jej działania dodatniego lub poprostu bezsilność.

Więc wkolei zwiedzania schodzimy do zwierzętarni. Do myszek i świnek. Świnki morskie zachowują się spokojnie. Pozują, jak do zdjęć gabinetowych. Futrzaste, o ładnej sierści i ruchliwych ryjkach, to patrzą sobie wzajemnie w oczy, to na świat. Białe myszki bezustannie biegają po szklanych słojach i w swej szklanej śmiertelnej celi urządzają cyrkowe przedstawienia. Skaczą jedna przez drugą, układają esy-floresy ze sprężynowych ogonków, tańczą zalotnie na dwóch łapkach, a przedniemi, obiemi i różowemi grają na ścianie cylindra. Ale niektóre leżą w kącie i dyszą.

W małym słoiku, wypchanym wygodnie sianem, jak w miękkiej, puchowej separatce, mieszkają dwie myszki. To chyba coś, jak oddział dla ciężko chorych, którym już niczego się nie żałuje. Doktór wziął pensetkę i jedną wyciągnął. Już zdechła. Za nitkowaty ogonek pensem wyciąga drugą.

Oczy ma przymknięte, prawie schowane w białem futerku. Grzbiet wygięła, jakby się chciała schylić w strachu. I tylko łepek odrzucony jest w tył. Nie może go ukryć między łapkami, bo zesztywniały kark trzyma ją w tej pozycji. Jedna z dolnych łapek martwo wyciągnięta, a druga zesztywniała i odrzucona w bok.

Mysz wisi na ogonie, trzymanym pensetą i drga konwulsyjnie. To jest agonja. Minjatura śmierci na tężec.

Błahemi, mysiemi zdechnięciami ocalamy siebie. Wykonujemy zwykłe przyrodnicze prawo silniejszego.

Tężec. Przypomniała mi się śmierć mojego szkolnego nauczyciela, który dostał tężca na wycieczce z naszą klasą. Czy wtedy już była surowica? Przypomniał mi się wstrętny zapach pokoju, gdzie w czerwonem świetle (żeby nie zmniejszać jadowitości toksyn) hodowano bakterje tężca. Mdły, duszny smród. Nie pomaga wentylator. Warczy i warczy, pędzony elektrycznym motorem, a zarodniki tężca roznoszą swój zwycięski odór.

Jeżeli surowica okaże się dostatecznie silną — słychać głos dyrektora — i jeżeli zakład sprawdzeń poświadczy, że niema w niej żadnych bakterji, wtedy proces jest już ukończony i butle przechodzą do rozlewalni.

Tak, teraz nastąpi rozprowadzenie nowego zapasu broni po całym froncie. Fiolki otrzymają kolumny sanitarne, oddziały, które dokonują szczepień, apteki, zakłady zagraniczne. Jedne surowice będą służyć do celów ochronnych, a inne będą leczyć chorobę.

Na tem nie koniec. Jest to jedynie jeden odcinek pracy. Odcinków, gałęzi, zadań i celów jest bardzo wiele. Naprzykład tu, w podziemiu, już inny świat. Nie bakterje, ale mięso. Surowe, krwiste i świeże. Na istnym stole kuchennym obrzynają tłuszcz z trzustek wołowych, oczyszczają trzustki z niepotrzebnych kawałków, a resztę rzucają do maszynki do mięsa. Wychodzi z niej cienkiemi makaronikami lepka masa o odorze zwierzęcej posoki. Jakieś okropne kotlety cielęce Po dodaniu alkoholu, po zrobieniu wyciągu po odparowaniu alkoholu, po suszeniu, przeróbce, sproszkowaniu otrzymujemy biały proszek. Czystą insulinę, jaką pokazuje nam w chłodniach inż. Spasowicz.

W frigiderce, w chłodni, jak w kasie ogniotrwałej, leży insulinowa fortuna. Słoik zawierający 8 gr. tego proszku białego, jak proszek do zębów, ma wartość około 5 tysięcy złotych. Ażeby otrzymać ½ kg. insuliny, potrzeba 25 tysięcy kg. trzustek wołowych, czyli 50.000 sztuk wołów. Z tej gigantycznej rzezi otrzymujemy rezerwoar życia dla ludzi chorych na cukrzycę.

W handlu cena ampułki insuliny została obniżona. Dawniej kosztowała 5 zł. 65 gr. a dziś 4 zł. 80 gr. Anižeśmy się spostrzegli, jak w naszą rozmowę z dyrektorem weszły terminy handlowe: rozszerzenie rynku, surowiec, koszty produkcji, koszty sztywne.

Jak spod wszystkich rzeczy w życiu wyszedł ukryty czynnik: pieniądz. Nie wszyscy chorzy mają środki na ratunek, nie wszędzie bastjon medycyny zwyciężał śmierć. W bastjonie nie było żołnierzy, bo nie starczyło pieniędzy na walkę ze śmiercią,



Hodowla bakteryj gruźlicy

teraz — wzrok nasz pada na drugą linję frontu, na pas wojenny, gdzie przeciw widmu śmierci stają nie lekarze, nie bakterjolodzy, ale już same społeczeństwo. I bronią jest nie lśniąca strzykawka surowicza, lecz kiesa pieniężna. Stanowczo — atak medycyny nie idzie równolegle z atakiem drugiego frontu. W drugiej linji okopów żołnierze są skłóceni. Wzrok przebija przestrzeń dalej, — poza front, wgłąb kraju. W obraz wojny między samemi ludźmi. W kłębowisko, w chaos walki, w bezustanną próbę prawa silniejszego. W życie.

Tydzień książki

WEDŁUG DANYCH ZJEDNOCZONYCH ORGANIZACYJ KSIĘGARSKICH

AŁDANOW M. A.: Jaskinia. Powieść. 8°. Str. 380. Warszawa ,1934. J. Przeworski. Zł. 6.

B. J.: Erotyki czyli wiersze miłosne z ilustr. 16°. Str. 88. Wąbrzeźno, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 0.75.

BEZNER J.: Współzależność między obiegiem pieniężnym, a poziomem cen w Polsce 1925 — 1930. 8°. Str. 39. Kraków, 1933. Gebethner i Wolff. Zł. 2.

BREIT M.: Stopa procentowa w Polsce. 8°. Str. 235. Kraków, 1933. Gebethner i Wolff. Zł. 6.

CHMURSKI A. dr.: Reforma Najwyższego Trybunału Administracyjnego. 8°. Str. VII, plus 99. Warszawa, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 3.—.

COURTHS - MAHLER J.: Tajemnica siostry Marleny. Powieść. Przekład E. Solskiej. 8°. Str. 256. Warszawa, 1933. S. Cukrowski. Zł. 6.

Dańcewiczowa J.: Jak realizować nowy program języka polskiego. II. 8°. Str. 100. Warszawa, 1933. Gebethner i Wolff. Zł. 1.90.

DREWNOWSKA A.: Dwie pokusy. Powieść. 8°. Str. 275. Warszawa, 1934. Rój. Zł. 2.50.

DUBOIS J. dr. inż.: Otrzymanie półkoksu formowanego z torfu z użyciem lepiszcza z 11 rys. 8°. Str. 93. Warszawa, 1933. Gebethner i Wolff. Zł. 3.

GLAZER S. dr.: Wiążący bezprawny rozkaz. 8°. Str. 31. Kraków, 1933. Dom Książki Polskiej. Str. 1.20.

GOLICZEWSKI Wł.: Walecznych tysiąc. Pamiętniki sierżanta z wojny polsko - bolszewickiej do druku przygotował R. Umiastowski. 8°. Str. 240. Warszawa, 1934. Główna Księgarnia Wojskowa. Zł. 2.

HOLSZTYŃSKI S.: Kohelet. Przekład biblijny. 8°. Str. 50. Poznań, 1934. Dom Książki Polskiej. Zł. 2.50.

JARZYNA A. dr.: Polityka emigracyjna. 8°. Str. 194. Lwów, 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 8.

Kapłanka domowego ogniska. M. S. G. 8°. Str. 51. Warszawa, 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 1.50.

KAYLI - SMITH S.: Ród Alardów. Przekład F. Zielińskiej. 8°. Str. 374. Lwów, 1933. Dom Książki Polskiej. Zł. 7.

KLEBER K.: Pasażerowie trzeciej klasy. Powieść. Przełożył J. Alwen. 8°. Str. 234. Lwów, 1934. Dom Książki Polsk. Zł. 6.

KOSPOTH-PAWŁOWSKI W.: Słownik angielsko - polski z krótką gramatyką. 8°. Str. XV plus 67. Wilno, 1933. Księgarnia św. Wojciecha. Zł. 2.50.